



## Fragment zbioru wspomnień „Rodzina”

*T* były wyjątkowe godziny, kiedy Rodzice i moi bliscy mówili o przeszłości. Ich opowieści zawsze kojarzą mi się z fotografią, bo były krótkie jak otwarcie migawki w aparacie, ale pozostawiały doskonały, wyraźny obraz. Zbierałam te obrazy całe lata notując, a czasem nagrywając. Niedawno uporządkowałam wszystko i powstał zbiór „Rodzina”.

*Długo myślałam, jaki kształt powinien mieć tekst, aby zachować jak największe podobieństwo do tych spotkań rodzinnych. Pomogły mi obrazy zachowane w pamięci – siedzimy wszyscy razem i płyną czyjeś wspomnienia...*

*Jest wieczór, za oknem już szaro... To moi bliscy mówią, słyszę ich głosy...*

*Opowiada mój Tata, głosem przyciszonym, z namysłem, czasem milknie jakby wsłuchiwał się w minione dni, a jego piękne brązowe oczy, zwykle pełne światła, teraz przygasają. Podejmuje opowieść spokojnie i tylko chwilami jego głos matowieje, a oczy wilgotnieją...*

### Pierwsze dni wojny

Ludność pochodzenia niemieckiego już od kilku miesięcy stała się bardzo wroga, chodziły słuchy, że zapatrywali się w broń, szpiegowali, robili plany ważniejszych obiektów. Miałem coraz mniej kumpli, bo ci pochodzenia niemieckiego to stawali się butni, przygadywali, że zrobią wreszcie z nami, polaczkami, porządek. Do roboty przecież chodziłem, a u Cegielskiego strach było się odezwać. Cholera mnie brała i bywało, że niezłe się poprzykałem. Niektórzy to już tylko po niemiecku gadali, a wtedy największa wściekłość mnie brała. Kiedy zaczęła się mobilizacja, to kilku zwało do Niemiec, bo chcieli uniknąć powołania do naszej armii. Tam w Niemczech ich przyjmowali i szkolili. Lata całe w Polsce żyli, a teraz przeciw niej się szykowali. Miałem trochę pieniędzy uskładane, bo przecież chciałem brata i siostrę z sierocińców zabrać, jak mieszkanko wynajmę. A tu na wojnę się zanosilo. Mówię sobie: „i tak nic mi z tych pieniędzy nie przyjdzie, jak te cholery niemieckie na nas skoczą”. To zabrałem wszystko co do grosza i zaniósłem na Fundusz Obrony Narodowej. Żał mi było, bo tyle musiałem się wyrzec, by trochę odłożyć, ale pomyślałem, że może chociaż parę naboju wystrzelą albo granatem rzucą w moim imieniu. Poszedłem też kopać rowy przeciwlotnicze, ale za późno się za to wszystko wzięli, bo już za dwa dni wojna się zaczęła.

Byłem w Poznaniu na Górnej Wildzie i słyszę, jak przez radio ogłaszają, że Niemcy wypowiedzieli Polsce wojnę i że wszyscy zdolni do noszenia broni mają się zgłosić do koszar na ulicę Solną po umundurowanie. Od razu poleciałem na dół, uszedłem parę kroków i ktoś strzelił mi nad głowę, kulka przeleciała dosłownie parę centymetrów nade mną. Wpadłem do bramy. To mieszkający w Poznaniu Niemcy już strzelali i dawali z dachów znaki lusterkami i latarkami, jak były naloty. Dotarłem na Solną, na placu koszarowym stało kilka małych stolików i zapisywano ochotników. Mnie też zapisali. Potem ustawili nas czwórkami i maszerowaliśmy na Wrześnię, bo tutaj żadnych mundurów dla nas nie mieli.

Mosty na Warcie już były przez polskie wojsko powysadzane, żeby utrudnić Niemcom drogę do Warszawy. Dolną Wildą maszerowaliśmy wzdłuż brzegu; kobiety z domów wybiegały i obrzucały nas kwiatami, całe we łzach, że na wojnę idziemy.

Naprzeciw dzisiejszego Stomila były pontony i na nie nas władowali. Akurat na samym środku Warty byliśmy, jak samoloty niemieckie nadleciały i zaczęły grzmocić prosto w nas. A obok ułani się przeprawiali na drugą stronę. Konie rżały, płynęły z zabitymi ułanami na grzbiecie, ludzie krzyczeli, topili się...

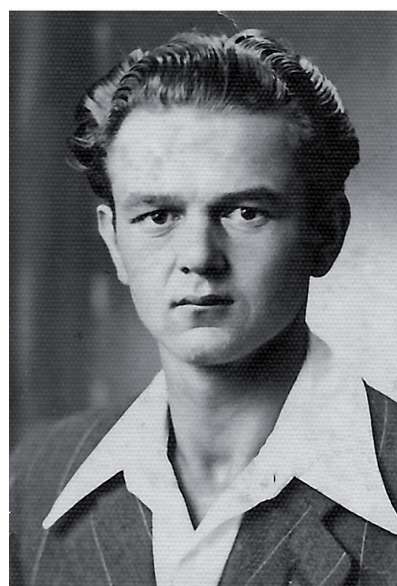
Oficerowie zebrali tych z nas, co uszli z życiem, ustawili i... na Wrześnię. Przechodziliśmy przez las, a potem jakiś browar. Wychodzimy w końcu na szosę Poznań–Warszawa przed Swarzędzem. Jak w lesie szliśmy, to spokój był, a jak tylko na drogę wyszliśmy, to czwórkami nie można było iść, bo tylu było uciekinierów z walizkami i wózkami. Za kawałek nalot. Wszyscy się rozlecieli na lewo i prawo, ale wszędzie tylko gołe pola. Jak zaczęli strzelać z samolotów! Odlecieli, tylko jęki było słychać, a potem krzyk i płacz; ludzie znajdowali swych bliskich zabitych i rannych. Ta nasza grupa chłopaków też się rozpadła, dowódcy gdzieś wsiąkli, więc każdy szedł sam. Przed Wrześnią kuzyna Feliksa Laudę spotkałem. „Gdzie ty idziesz, Kaziu?” „Szukam wojska, zaciągnąłem się”. „Toś głupi! Chodź, idziemy z powrotem, bo wy nie idziecie po żadne mundury, to Niemcy się poprzebierali w polskie mundury i wyciągają was na szczerze pole, żeby wszystkich wybić”. Faktycznie, tych oficerów, co nas prowadzili, to już dawno nie było, zostawili nas na pastwę losu na chwilę przed nalotami. Wróciłem z Felusiem do domu.

W Poznaniu polscy żołnierze nas zatrzymali, wsadzili na samochody i zawieźli na Ławicę do kopania rowów. Ledwie wzięliśmy szpadle do rąk, a tu nalot. Obok lotniska były podziemne bunkry poniemieckie, jeszcze od I wojny, więc lecimy do tych bunkrów. Żołnierze polscy i cywile, chmara nas była. Jak nalot minął, to wsadzili nas na samochody i do miasta odwieźli; już tych rowów nie kopano, bo zbombardowane wszystko było. Wieczór nadszedł, odprowadziłem jeszcze do domu jedną dziewczynę, co też się znalazła przy tym kopaniu, i wróciłem do domu.

Chodziłem po ulicach i patrzyłem, co się dzieje. Miasto zbombardowane, składnice towarowe Dworca Głównego, koszary saperów na Wildzie, Poczta Główna, domy mieszkalne. Nie widziałem ani jednego polskiego samolotu na niebie, a przecież tak się przechwalano naszym lotnictwem. Dywersanci niemieccy ostrzelali w pobliżu dworca uciekających cywilów, ale już wieczorem na cmentarzu ich złapano i sąd polowy wydał wyrok śmierci. To byli uczniowie gimnazjum niemieckiego ze swoim nauczycielem. Wszystkich rozstrzelano. Nasze wojsko szybko się wycofało w odwrocie. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego oddano Poznań bez walki prawie zaraz po bombardowaniach. Ludzie płakali, widząc wycofujące się polskie wojsko. Potem zaczęli uciekać wraz z rodzinami urzędnicy z magistratu i policja. W mieście zapanował zupełny chaos. Wyszadzono mosty na Warcie, w części miasta nie było prądu i wody, komunikacja ustała, nie było lekarzy i karettek, zamknięto sklepy i brakowało żywności. Nie dochodziły żadne wieści z frontu.

A niemieckie oddziały już zajmowały Wielkopolskę, aż w końcu dotarły do Poznania i bez przeszkód wjechały do centrum. Na Starym Rynku było pełno żołnierzy niemieckich. Same stare dziadki. Roześmiani, jakby na wycieczkę do Poznania przyjechali. Często wiali ludzi papierosami. Wokoło chmary niemieckich poznaniaków stało, cieszyli się, że Niemcy przyszli, witali ich okrzykami, wnosili ręce w geście Hitlera. Zgroza było na to patrzeć – nie wiedziałem, co będzie dalej. Zrobiło się podwójnie niebezpiecznie, żołnierz niemiecki widoczny był na ulicach, ale wśród cywili krążyli zdrajcy, a tych trudniej było rozpoznać. Żołnierzy niemieckich wciąż przybywało. Dosłownie jak szczury łazili po wszystkich ulicach... i robili sobie fotki. Panny wyfiokowane, wystrojone ustawiały się z hitlerowcami do zdjęć. Nie mogłem na to patrzeć, te loczki bym im powyrywał z głów.

Szarpałem się w sobie bezsilny, zrozpaczony, nie miałem żadnych wieści od rodzeństwa, nie wiedziałem co robić. Miałem dopiero 19 lat, byłem na łasce u wuja, nie powinienem mu być ciężarem teraz, kiedy nie miałem pracy, kiedy tak trudno o wszystko. W domu u wuja mówili, że ta wojna niedługo potrwa, ale jakoś w to nie wierzyłem. Co rusz ktoś znajomy uciekał na wschód, zabierając z domu wszystko, co mógł udźwignąć. Też mogłem uciekać, w końcu nie zmęczyłbym się zanedo, bo ja żadnego majątku nie miałem i szedłbym z pustymi rękoma, ale ucieczka też wydawała mi się bez sensu. Ze dwa tygodnie tak trwało i już Niemcy „zaopiekowali się” mną. W łapance mnie zwinęli na ulicy, nim się zorientowałem, co się dzieje, już mnie wepchnęli do samochodu.



Kazimierz Tomicki, ok. 1943.  
Ze zbiorów autorki

Potrzebowali ludzi do roboty. Zawieźli nas na policję i tam kazali rozebrać się do naga; jakieś kobiety miały dzbanki z lizolem i wszystkich pędzlowali pad pachami i w kroku, niby dla dezynfekcji. Nasze ubrania też „odkazili”, czyszciszki... Potem wywieźli nas na roboty do Niemiec.

## Zaczęła się moja wędrówka

Przydzielili mnie do cegielni Tonwarenfabrik do Crinitz Niederlausitz w Brandenburgii i pracowałem jako elektromonter półtora roku. Tam byli sami poznaniacy. Można było chodzić po wsi, nawet nie potrzeba było litery „P”.

Obiady jedliśmy w cegielni, dali nam kartki żywnościowe i resztę kupowaliśmy w sklepie; jak nie było innych Niemców, to można było czasem kupić coś bez kartek, to parę jajek, to papierosy. W zasadzie te marki, które nam dawali, wystarczały na jedzenie. Nie było początkowo tak źle, ale potem Polacy zaczęli po zabawach rozrabiać i dozór wziął nas krótko. Kazali przyszyć literę „P” i nie wolno nam było ruszać się ze wsi. W cegielni lekko nie było, ale ja pracy się nie bałem. Aż kiedyś zachorowałem i poszedłem do niemieckiego lekarza, dostałem parę dni zwolnienia i nie stawiłem się do pracy. Leżałem w gorączce. Po dwóch dniach wpadł do mnie właściciel cegielni Gustaw Krüger, bluźnił po niemiecku, wrzeszczał, że bumeluję i nic go moje zwolnienie nie obchodziło. Obił mi pięściami całą twarz i kazał natychmiast iść do roboty. Nie mogłem mu oddać, ale robić dla niego ani myślałem. W trójkę uciekliśmy do Poznania, a tam już byłem szukany listami gończymi. Udało mi się ukrywać przez dwa miesiące.

Złapali mnie przypadkiem. Siedziałem w więzieniu w Poznaniu przez cztery tygodnie. Odesłano mnie do majątku niemieckiego w Bendershof [część wsi/gminy Schwachenwalde, czyli obecnie Chłopowo, w powiecie Arnswalde – obecnie Choszczno – uzupełnienie B.K.], gdzie pracowałem osiem tygodni i uciekłem. Zebrałem swoje nędzne łachy i wymknąłem się pod osłoną nocy. Chyłkiem przemykałem przez teren zabudowany, niektóre okna były oświetlone. Udało mi się wreszcie wyjść na pustą polną drogę. Biegłem, póki wystarczyło mi tchu. Ukryłem się w krzakach, nieco odpocząłem, a potem ruszyłem dalej. Gdy zaczęło się rozjaśniać, wszedłem na rozległe pole, położyłem się w redlinie i zasnąłem. Innej kryjówki nie było. Przeleżałem tak do zmierzchu. Zjadłem ostatni kawałek suchego chleba i znowu pobiegłem. Następnego dnia spędziłem w lesie. Byłem bardzo głodny i spragniony. Późnym wieczorem podszedłem do wioski w nadziei, że zakradnę się i coś zdobędę do jedzenia. Nic z tego, wlokłem się dalej. Trochę na uboczu stała chata otoczona niskim płotkiem. Miałem już tam przeskoczyć, kiedy otworzyły się drzwi i wyszła starsza kobieta z wiadrem. Doszła do studni i zauważyła mnie. Chwilę popatrzyła i nagle woła niezbyt głośno: „Komen Sie hier”. Było mi już wszystko jedno i podszedłem. „Wer bis du? Polnische Arbeiter”. Westchnęła ciężko i wskazała mi drzwi. Wszedłem do izby, czyściutko, zegar tyka. „Setzen Sie sich”. Zakrzętnęła się przy piecu i po chwili postawiła przede mną miskę zupy mlecznej i kawał chleba. Bez słowa patrzyła na mnie, siedząc po drugiej stronie stołu. „Mein Sohn war ein Soldat. Sie töteten ihn” – wyszeptwała i położyła splecione ręce na stole. Nie mogłem patrzeć na te ręce – bezsilne i pełne rezygnacji. „Wo ist deine Mutter? Er ist tot”. Wstała ciężko, nalała wody do miednicy, położyła ręcznik. „Hier sicher. Die Nacht” i wyszła do drugiej izby. Zostałem u niej dwa dni, narąbałem drzewa, posprzątałem kurnik i obejście. Nie rozmawialiśmy wiele. Na odchodne dała mi czapkę, szalik i marynarkę. Miałem 185 cm wzrostu, a ten jej syn musiał być niższy, bo rękawy były przykrótkie. Buty nie pasowały. W płócienną torbę włożyła mi wędzonej słoniny, białego sera w lnianej szmatce, cebuli, a do tego sporo chleba. Schyliłem się do jej rąk, a wtedy ona pocałowała mnie w czoło: „Geh, mein Sohn”. O mało nie upadłem. Chwyciła mnie wielka żalność. Szedłem nocami aż dotarłem do Poznania, a w drodze tylko o tej kobiecie myślałem. Byłem zupełnie skołowany. Niemka też kocha i cierpi? – pytałem sam siebie. Ta wojna nauczyła mnie nienawiści i strachu, Niemiec umiał tylko poniewierać, katować i zabijać – zapomniałem, że są inne uczucia. Już kamieniało moje serce, zbytnio nie dbałem o życie. Ta kobieta mnie uzdrowiła, nabrałem wiary, że jeszcze wróci dobro. Zapamiętałem ją na zawsze, bo była jak anioł na mojej drodze.

Po tygodniu znowu mnie drapnęli do więzienia w Poznaniu, na ulicę Młyńską, trzymali na Gestapo pięć tygodni za ucieczkę, dostałem w kość, wylizałem się, a w końcu wysłali mnie na pięć miesięcy do majątku więziennego w Königshof – Targowej Górcie.

Dozorcy byli od cholery, prześcigali się w dręczeniu więźniów, a do tego głód. Chłopi z tej wioski to nam współczuli, ale sami w strachu żyli. A jednak... Wiosną znalazłem w redlinie kawałek wilgotnego



Budynki należące w wojnę do majątku więziennego w Targowej Górcie. Fot. Włodzimierz Kuliberda, 2010

chleba smarowanego cieniutko smalcem. Żandarm był daleko ode mnie, więc pochyliłem się jeszcze bardziej nad zagonem i już miałem odgryźć kęs, kiedy zobaczyłem wpatrzone w ten chleb głodne oczy innego więźnia. Urwałem kawałek i podałem, a w środku aż mnie skręciło z żalu, że mam mniej chleba. A ten więzień oderwał kawałek i podał drugiemu. To się okropnie zawstydziłem swojej chytrości. Na kolanach posunąłem się dalej, urwałem kawałeczek i dałem koledze, a potem jeszcze innemu. Tak ukarałem sam siebie – został mi kęs nieco większy jak paznokciec, ale głodu już nie czułem.

Usiłowałem znowu zwiać, ale nie udało się. Po śledztwie dostałem wyrok zaoczny. Pod nadzorem straży zamiatałem w Pile ulice wraz z innymi więźniami Polakami. Musiałem codziennie zgłaszać się do pracy; to nawet nie było takie złe, bo tam dawali więcej jedzenia. W Pile było dużo Polaków i jak widzieli, że zamiatamy pod strażą, to podrzucali nam papierosy. Było już zimno, wiatr przejmował do kości, nie miałem ciepłej odzieży, a już tym bardziej rękawiczek. Ręce marzły, skóra pękała i krwawiła. Czasem z tego bólu to nawet głodu nie czułem, bo liczyłem godziny do końca roboty i karmiłem się nadzieją, że w pomieszczeniu, po pracy, dłonie nie będą tak bolały. W końcu jednak mój wyznaczony wyrokiem czas minął. Ledwie wygoiłem ręce, a już przypomnieli sobie o mnie.

Znowu dostałem nakaz robót przymusowych. Zebrali nas, całą chmarę. Gospodarze niemieccy mieli nas kupić do roboty. Wreszcie pociągiem przyjechali ci gospodarze i tak chodzili i oglądali nas jak na targu niewolników. Jeden doszedł do mnie i gada coś szybko po niemiecku, a ja ledwo rozumiałem; spytał skąd jestem, czy krowy umiem doić. „Nie” – mówię. Popatrzał. „To nic, to się nauczysz” – mówi. I kupił mnie. Nazywał się Artur Zahn, gospodarz z wioski Kegelsmühl [dzisiaj wieś Kłoda – uzupełnienie B.K.], 15 kilometrów za Piłą. Tam byli Niemcy i przed wojną.

Zahn chwalił się mną przed innymi gospodarzami, mówił, że najlepiej robię ze wszystkich. Miałem trzy konie i wszystkie maszyny rolnicze. Ale nie tylko w polu robiłem. Dwóch nas było Polaków i wszystka robota do nas należała. Po robocie w polu i obejściu w młynie wory z ziarnem nosiłem, a ten Zahn, to wciąż krzyczał: „Schneller, schneller!”. A potem jeszcze mąkę rozwoziliśmy po wioskach – no i to były chyba jedyne chwile, kiedy odsapnąłem, siedząc na wozie. Jak zlążłem z wozu, by worek z mąką do jakie-



Tyłna strona domu Zahna i piwnica zachowana niemal w niezmienionym stanie. Młyn popadł w ruinę. Fot. Joasia Akuła, 2010

goś gospodarza odstawić, to często ślaniałem się na nogach, bo już sił nie miałem dźwigać. Ledwo żywy wracałem, a tu jeszcze gospodyni drzewo rąbać kazała, czasem to na złość, bo już sterta leżała i wcale nie było to tak zaraz konieczne. Od świtu do nocy tyraliśmy. Gospodarze to źli ludzie byli, szczególnie Zahnowa, cholera skąpa, nawet surowego kartofla na wpół zgnitego żałowała. To i jeść nam tak mało dawała, że z głodu często kiszki marsza grały, a tu siłę do roboty trzeba było mieć. Okradaliśmy więc babę, zjadając surową marchew i cebulę z pola. Gospodarz pewno uważał, że my dosyć jedzenia mamy, bo mawiał: „Mój Kazimir to robi, te wasze to nie robotniki, ale trzeba mu dać dobrze jeść”.

Nie mieliśmy z Bernardem łózek, spaliśmy na stercie słomy i łachów na podłodze w piwnicy, dobrze, że tam piec był, którym musieliśmy dom cały ogrzać, to i nam ciepło było. Na zmianę z Bernardem w nocy dorzucaliśmy drzewa. Zaniechałem ucieczek, bo niby dokąd i po co miałbym iść. Pracowałem u Zahna około roku, prawie do połowy lipca 1944. Potem, jak już niemieckie wojska często ponosiły klęski i mieliśmy nadzieję na koniec wojny, uciekłem od gospodarza razem z Bernardem Kwiatkowskim z Inowrocławia. Nocą szliśmy łąkami przy Noteci. Znaleźliśmy łódkę uciepioną przez kogoś przy rzece i nocą przepłynęliśmy na drugi brzeg, a dalej szliśmy lasami. Omijaliśmy wioski, bo psy szczekały i pełno Niemców się kręciło. Dotarliśmy do domu Bernarda, dali nam na drogę paczkę z żywnością i zaraz musieliśmy uciekać, bo Niemcy już tam byli i go szukali. Ale to był koniec naszych robót dla Niemców...

*Tata poczuł się wolny. Wędrówka nie ustała, ale nadzieja przerodziła się w pewność, że wojna się kończy. Niemcy przegrywali... Wiele miesięcy podążał w ślad za nimi (o tym w dalszych wspomnieniach).*

*Znalazł się w Rehden, obozie zorganizowanym przez wojsko angielskie i amerykańskie dla byłych robotników przymusowych oczekujących na powrót do ojczyzny. Tu poznał i poślubił Irenę Łuczyńską. Nie wrócił już do Poznania, znalazł dom w jej rodzinnych Pabianicach.*

*Poznań na zawsze jednak pozostał w jego sercu. Tata tęsknił i zdarzało się, że wyszedł rankiem, wsiadł do pociągu i pojechał na swoją Śródkę i Wilkę. Nawet nie mówił, że jedzie. Mama co rusz z niepokojem podchodziła do okna i czekała, a On wracał późno w nocy taki rozpromieniony, że tylko wzdychała wybacząco: „Oj, Kazik, znowu tam byłeś...”.*